KAMENA

miesięcznik literacki

ROK II

№ 3

ROK II **KAMENA** NR. 3 (13)

MIESIĘCZNIK LITERACKI

15 LISTOPADA 1934 R.

SPIS RZECZY

KAZ. AND. JAWORSKI Sułkowski . str. 41
KONRAD BIELSKI Na śmierć Edisona . . „ 42
WŁODZIM. PIETRZAK Filozofja sierpnia . . „ 42
WITOLD KASPERSKI Powrót . . . . „ 43
JÓZEF ŁOBODOWSKI Pieśń o głodzie . . „ 43
OLGA DAUKSZTA Poszukiwanie ojczyzny „ 45
SERG. KUŁAKOWSKI Tragedja S. Jesienina . „ 45
KAZ. AND. JAWORSKI Przekłady poezyj S. Jesienina „ 49
BRUNO SCHULZ Druga jesień . . . „ 54
TADEUSZ BOCHEŃSKI Z „Dziennika Tatrzańskiego „ 57
JÓZ. NIK. KŁOSOWSKI Z książek najnowszych . „ 59
Noty . . . . . „ 60
Wkładka linorytowa ZENONA WAŚNIEWSKIEGO.

kamena

miesięcznik literacki

rok II 15 listopada 1934 r. nr. 3 (13)

Bojownikowi o Niepodległość polską i Sprawiedliwość społeczną, czcigodnemu Bolesławowi Limanowskiemu w setnym roku Jego niestrudzonego żywota hołd składa redakcja i wydawnictwo „Kameny".

SUŁKOWSKI

W 70-ą rocznicę urodzin najświętszej pamięci STEFANA ŻEROMSKIEGO.

Trzeba z jarzma wyzwolić zgięty lud u pługa
i wolność narodowi nieść na ostrej szpadzie.
Od Egiptu do Polski droga bardzo długa,
tem dłuższa, gdy się na niej cień miłości kładzie.

Lecz miłość trzeba ująć w nieulękłe dłonie
i zmiąć jak kwiat lotosu, gdyż osłabia męża.
Słodko oczom przepływać przez ócz modre tonie,
lecz żołnierzowi słodszy twardy szczęk oręża.

A śmierci przecież niema: śmierć śmierć unicestwia,
kres życia bohatera jest poczęciem boga,
więc chociaż damasceńska szabla się rozbestwia,
dumnej serca kolczugi nie ima się trwoga.

Gdzieś tam krwawi maleńka, niewidzialna rysa,
Izyda zadumana ma twarz Agnesiny.
Gdy nadejdzie godzina, na sąd Ozyrysa
pójdę śmiało, uwieńczon w ciernie lub wawrzyny.

W złocie świtu się Polska jak miraż wynurza.
Nie umrze, w czyjem sercu odwaga zamieszka.
W suchy piasek pustyni wsiąknie krwi kałuża
i może tam zapłacze księżniczka Agnieszka.

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

NA ŚMIERĆ EDISONA

lampy zakwitły w miastach
nocy wydarto godziny
cudowną siatką drutów pokryto ziemską bryłę
w oślepiających blaskach
rozwija swą taśmę kino
tego jeszcze nie było

poprzez oceany
głos ludzi do nas leci
płynie muzyka zdaleka
huczą aeroplany
miljon słońc białych świeci
nad trumną jednego człowieka

kto wydarł bogom zaklęcia
najcudowniejszej alchemji
ramię zeusa wplótł w kierat
zgniótł tajemnicy pieczęcie
w jądro wszechświata się wgłębił
ten nie umiera

iskrą elektryczną przenika
w morze eteru
głos swój nakłada na płytę
owija ramieniem zwrotnika
stratosfery
dudni w maszynach skryty

maleńki drucik z metalu
rozpalił się w olbrzymią łunę
poprzez obie półkule globu
jeszcze huczą ogromne hale
by prząść wiecznie cienką życia strunę
lecz na to już nie znalazł sposobu

KONRAD BIELSKI

FILOZOFJA SIERPNIA

Nieba gorejącego chmurami zachodu,
ziemi, gdzie owies rósł i niski jęczmień,
nie zamienisz nigdy w słowa,
brzęczące jak ptaki na wiejskich płotach.

Pójdziesz, depcząc mokry łubin, na połów,
śpiące skowronki z pod nóg ci prysną jak błoto,
popatrzysz,
dokąd w przeźroczystą przestrzeń spada świat
i czołem bić będziesz o próg, o podziw.

Las mija wieczór i trwa;
oczami, zmożonemi jak wyżły, dociec,
czem jest trwanie i czego się szuka
przez lata płynące długo.

Gdyby na skrzydłach lekkiej ważki dało się zważyć
widok, przechodzący w obraz —
ta myśl dla was będzie nierozumna i obca,
synowie ciepłej wygody, malarze
przechylających się lat:
nie wierzę, abyście przy mnie potrafili stanąć,
gdy dłonią, oczami ten wasz zdobywam
świat.

WŁODZIMIERZ PIETRZAK

POWRÓT

mówmy najprościej
365 dni wstecz
śnieg się łasił u stóp nam
pełni czczej mądrości
żuliśmy kłamstwo w ustach

a potem pustka
bezsens słów
wiosna i lato jesień
zimą księżycowy nów

wiem samotności ołów przytłacza mózg
ciężko wykrztusić słowo o słowo
odchodzić i wracać na nowo
ku tobie mus

pokonany don juan odnalazł sam siebie we łzach
nad tajemnicą miłości księżycowy sierp w nowiu
niebo czarne czerwienią gwiazd nad nami pełza
niebo z gwiazd i ołowiu

WITOLD KASPERSKI

PIEŚŃ O GŁODZIE

(fragment)

Niebo powleka szklisty lśniący mróz,
wybiega przestrzeń przeciw ciągnącym obozom.
W pierś po rękojeść wrósł
wicher z nad jezior i borów,
znużonych koni źrenicom podstępnie grożą
pierwsze zwiastuny wieczoru.

Gasną nadrzecznej zieleni wybuchy,
zdeptana, zdyszana trawa
goni śladami, do kopyt się klei —
jarzma, skrzypiące łuki w sajdakach, kożuchy;
mgła z mokrych wiklin brzuchem po ziemi się czołga,
mgła, jak kurzawa,
u pęcin, wozów, kolein —
na wschodze zamglona Wołga.

Na horyzoncie raz po raz
błyskają skrzydła płomiennym ptakom,
w śmierci gasnących gwiazd
ciemny objawia się zakon;
jastrzębiem
mocny wiatr koniom zaplątał się w grzywy,
słychać miażdżący krok —
kryjąc mosiężne czoło w wieńcu jarzębin,
idzie spełniciel straszliwy.

Sine pola pragnienia nie gaszą
chłodnemi stągwiami wód —
węsząc za łąk naddunajską paszą,
stada głowami chwieją,
czerwoną łuną głód
nad konającą Wandeją.

Ciągną oznaki gniewu,
na Notre Dame de Paris dzwonią anioły popłochu,
kurzawą okryty pochód,
w prostych kulbakach naprzód podane ciała,
łamią się skrzydła struchlałym mewom
na ostrych, biskajskich scherach. —

W głuchym skurczu serc na straconych wałach
dzisiaj umierać.

JÓZEF ŁOBODOWSKI

POSZUKIWANIE OJCZYZNY

W cudzych miastach północnych, najeżonych granitem
szarym, czarnym, zielonym, z wysokiemi gmachami,
błądzę we śnie przerażeń... z sierocemi myślami,
a świat pusty i wrogi straszy nawet błękitem.

W obcych miastach dalekich, omywanych morzami,
szukam swojej ojczyzny sercem w skazy porytem.
Miasto zwala się na mnie Babilonem rozbitym,
duszą ciasne ulice pijanemi domami.

Mściwy lud mię otacza... Drżę biblijną niewiastą:
kamienować mnie mają, tłum już stoi w ataku,
chce mię zmiażdżyć na miejscu. Raptem wchodzisz ty w miasto.

Jesteś w zbroi błyszczącej. Krzyczę w szczęściu: — Spartaku!
Tłum się zwala w chwiejące, rozchodzące płaszczyzny...
Taki sen miewam zawsze, kiedy szukam ojczyzny...

OLGA DAUKSZTA

TRAGEDJA SERGJUSZA JESIENINA

(1895 — 1925)

Dwadzieścia lat temu poeta Sergjusz Gorodeckij, przyjaciel Mikołaja Gumilowa, propagując w Petersburgu poetów-włościan „wykrył" talent młodego chłopaka, Sergjusza Jesienina. Wieczory „poezji chłopskiej", urządzane przez Gorodeckiego, miały duże powodzenie wśród snobów epoki przedrewolucyjnej; zapraszano na nie poetów. Uczestniczył w nich również Mikołaj Klujew, wybitnie utalentowany uczeń Błoka i Briusowa, wystrojony „po chłopsku" w stylu teatralnym. Jaskrawa obrazowość Klujewa, zaczerpnięta z literatury staroruskiej, z tradycyj staroobrzędowców (tak zw. „raskolnikow"), z poezji ludowej w połączeniu z mistrzostwem techniki wersyfikacyjnej świadczyły o nieprzeciętnych zdolnościach tego czterdziestoletniego stylizowanego „chłopa-pomorzanina" (z brzegów Morza Białego), obeznanego z literaturą europejską i władającego językami obcemi. Obok Klujewa postać „zuchwałego" Jesienina wyglądała dość naiwnie. Otoczony „wielbicielami talentu" młody chłopak czuł się z po-

czątku nieswój; zachwycał się bowiem głębokim liryzmem Błoka, któremu hołd składał rownocześnie Klujew; maniera stylizatorska tego ostatniego wywarła wpływ na twórczość Jesienina.

W literaturze rosyjskiej (w ciągu ostatniego stulecia) było wielu znanych poetów—włościan. Poczynając od współczesnego Puszkinowi Teodora Slepuszkina, poprzez Kolcowa, Nikitina, Surikowa, Drożżina i wielu innych, tradycyjny prąd poetów-włościan nie ustaje w XX w., kończąc się przed rewolucją i podczas pierwszych jej lat na Sergjuszu Kłyczkowie, Piotrze Orieszynie i w. in. aż do sowieckich poetów-włościan. Stwierdzić należy, że poeci włościańscy (pochodzący w XIX w. z warstwy mieszczańsko-kupieckiej, w XX w. zaś z warstwy t. zw. inteligencji miejskiej) posługiwali się przeważnie wzorami poezji literackiej, chociaż wprowadzali do literatury obrazy z życia wsi oraz (jak Kolcow) poniekąd system rytmów poezji ludowej.

Jesienin odróżnia się od poprzędników żywiołowością i prostotą, z którą ujmował zdobycze współczesnych mu poetów. Tak samo, jak inni, działał w dobrej wierze, uważając za swego poprzednika Aleksego Kolcowa. Gorodeckij przekonał go, że jest prawie równy Kolcowowi. Ten właśnie obraz Jesienina zdobył mu popularność w Petersburgu w czasie wojny światowej.

Obdarzony wyjątkowym poczuciem melodyjności, Jesienin był typową naturą rosyjską, szeroką duszą, którą pociągają krańcowe rozbieżności. Liryzm jego, przepojony smutkiem, znalazł wyraz w emocjonalnej stronie poezyj, barwna zaś, soczysta mowa rodzimej gubernji riazańskiej, śpiewność i rozciągłość dźwięków samogłoskowych sprawiały, że poeta, zapoznawszy się z nowemi zdobyczami techniki wersyfikacyjnej, dostosował do form literackich poezji elementy pieśni ludowych. Poza tem charakterystyczną cechą jego liryk jest zestawienie dwu obrazów poetyckich, nie mających na pierwszy rzut oka nic pomiędzy sobą wspólnego; z kojarzenia tych obrazów powstawał inny, świeży i nowy, uderzająco uwypuklony.

Rzecz jasna, Jesienin wkrótce został modnym poetą. Pierwszy zbiorek liryk, „Radunica" (1916), nie wywołał zachwytu w prasie (zresztą ten sam los spotkał na początku Klujewa oraz znacznie mniej utalentowanego Kłyczkowa) „Radunica" — to swięto umarłych, które prastarym obyczajem odbywa się w pierwszą niedzielę po Wielkanocy i jest również świętem cerkwi prawosławnej, Terminologja cerkiewna, obrazy z żvcia świętych, stylizacja chrześcijańsko-włosciańska obok elementów epiki i liryki ludowej stanowią poważny element w twórczości Jesienina przed przełomowym dla niego 1921 r., gdy zaczął się wyrzekać tej „cerkiewszczyzny".

Czasem Jesienin wyglądał na bluźniercę, kojarząc obrazy z tejże „cerkiewszczyzny" z obrazami wręcz przeciwnemi (jak czasem to robił Majakowskij); lecz również szereg poetów w pierwszych latach rewolucji nawiązywał dzieje współczesności do pierwszych lat chrześcijaństwa (jak naprz. Błok w „Dwunastu", mając podświadomie na myśli 12 apostołów). Rewolucja Chrześcijaństwa i Rewolucja Socjalizmu; taką to paralelę wysunął krytyk Iwanow-Razumnik, jeden z założycieli nowego kierunku rewolucyjnego w literaturze, zbliżonego ideowo do „Dwunastu" i „Scytów" Błoka. Do tego kierunku, który przybrał miano—„Scytowie", należeli Klujew i Jesienin. Działo się to w r. 1918, w epoce walk o nową przyszłość, na początku ogólnej nędzy i głodu, gdy, jak słusznie powiedział Jesienin, jedni walczyli armatą—inni zaś piórem. „Scytowie" wydali najlepszy zbiór poezyj Jesienina pierwszej połowy jego twórczości — „Gołubień" (1918; wyraz, składający się z dwóch obrazów: gołub—gołąb oraz gołuboj—błękitny).

Od tej pory datuje się sława Jesienina, która potężniała w szalonem tempie życia owych czasów. Nadwornym poetą republikańskim został Demjan Biedny (Efim Pridworow). Futuryści z Majakowskim na czele uważali samych siebie za czołowych przedstawicieli nowej epoki w poezji. Wszędzie na powierzchni współczesności ukazywały się nowe siły. Drugorzędny poeta-esteta i równocześnie futurysta — Wadim Szerszeniewicz, stale poszukujący pola dla swej działalności przedsiębiorczej, wykrył w Jesieninie poetę, który całkowicie odpowiadał nowym prądom „poezji obrazowej". Ten moskiewski „imaginizm" powstał na tle futuryzmu; pozostawał do r. 1923 — 24 modnym kierunkiem.

W tymże r. 1918, to zn. „w drugim roku pierwszego wieku", Moskiewskie Zjednoczenie Pracy Artystów słowa" (Moskowskaja Trudowaja Artiel Chudożnikow Słowa) wydawało zbiory wierszy Jesienina, Kłyczkowa, Orieszyna i in. poetów-włościan i poetów-robotników. „Święta Ruś" kojarzyła się wówczas z „Czerwoną Rusią"; poeci identyfikowali również ustrój sowiecki z wolną republiką Nowogródzką lub z ustrojem watahy kozackiej XVII w. W tych to latach powstał nowy romantyzm.

„Imaginiści" hulali po moskiewskich kawiarniach poetów na wzór watah kozackich (Szerszeniewicz marzył o cyganerji na wzór paryski)... „Morze po kolana", „hulaj, pij na zdrowie", „niech przepada bujna głowa"!.. Złotowłosy Jesienin obok Szerszeniewicza, Mariengofa, Iwniewa, Kusikowa — hulał i oczywiście zachwycał wszystkich wierszami, w których wybujały tętent epoki znalazł szeroki oddźwięk.

Zbiory jego wierszy z tamtych czasów należą do rzadkości. Były one rozchwytywane.

Nastroje owych lat rewolucji w wyobraźni wielu poetów nabierały cech dawnych rewolucyj ludowych. Stąd obrazy z czasów Dymitra Samozwańca, Stieńki Riazina, Pugaczowa. W ten sposób powstał poemat dramatyzowany Jesienina —„Pugaczow" (wydany w r. 1922). Wybujałość i „chuligaństwo" znalazły wyraz w zbiorze liryk „Spowiedź chuligana" (1921).

Życie wielkomiejskie epoki rewolucyjnej wchłonęło wiejskiego chłopaka. Małżeństwo z Izadorą Duncan, podróż aeroplanem (co za snobizm!) z „nową żoną" do Berlina i dalej — do Paryża (później do Nowego Jorku), cylinder i frak, wspaniałe hotele, restauracje, kabarety — to wszystko było dalszym ciągiem hulania. Skończyło się na „plajcie duchowej". Jesienin powrócił do kraju samotny i przygnębiony. Zbiór poezyj „Moskwa knajpiarska" (1924) świadczy o tragedji chłopaka, który się załamał. Zbyt szybkie tempo życia doprowadzało do wykolejenia. Zbyt naiwna zuchwałość okazała się przeżytkiem lat młodzieńczych. Rozczarowanie czyhało na poetę, gdy powrócił do rodzinnej wsi: nowe życie wsi sowieckiej było zgoła czemś innem, niż wyimaginowana przez tego „imaginistę" wieś czerwona. Ruś, ta „Ruś Sowiecka" (tytuł zbioru wierszy z r. 1925) pozostała krajem poetyckich marzeń.

Poeta udaje się na wschód, do Persji. Jego „Motywy perskie" (1925) mają charakter nawskroś romantyczny. Niech mi będzie wolno ilustrować ten charakter tytułem pięknego zbioru wierszy St. Balińskiego—„Wieczór na wschodzie". Własnie ta podróż Jesienina odbyła się w nastrojach wieczornych życia, przepojonych głębokim smutkiem, który nabiera cech tragicznych w przedśmiertnym utworze p. t. „Czarny człowiek", wydanym już po śmierci Jesienina. W końcu grudnia r. 1925 poeta powiesił się w brudnym pokoiku jakiegoś hotelu, napisawszy dwa czterowiersze pożegnalne: „Do widzenia, druhu, do widzenia! Mój kochany, ciebie w sercu mam"...

Szerokie rzesze czytelników i wielbicieli poezji umiały te wiersze na pamięć. Cała Mósskwa opłakiwała tę tragiczną śmierć, która wywarła nie mniej głębokie wrażenie, niż zgon w r. 1921 Błoka i Gumilowa. Książki i artykuły o Jesieninie drukowano w zdumiewającej ilości...

Wszystko to świadczy (poza popularnością) o głębokim uroku poezji Jesienina, którego tragiczna postać pozostaje symbolem młodego pokolenia rosyjskiego, współczesnego poecie.

SERGJUSZ KUŁAKOWSKI

S. JESIENIN W SPOLSZCZENIU K. A. JAWORSKIEGO

*
* *

Niwy zżęte, nagie gaje
pachnie mgłą i wodą zgniłą,
złotem kołem za gór skraje
słońce cicho się stoczyło.

Drzemią drogi koleiny.
Jej dziś w nocy się zdawało,
że do siwej przecież zimy
już niewiele dni zostało.

Ach, i sam ja we mgle bławej
zobaczyłem wczoraj rano:
rudy miesiąc źrebcem żwawym
zaprzągł się do naszych sanek.

*
* *

O, srebrzysta, lśniąca drogo,
dokąd wołasz mnie i poco?
Niby świeca ponad tobą
gwiazda wgórze płonie nocą.

Sączysz smutek mi czy radość?
Czy w szaleństwo gnasz mnie harde?
Uczyń sercu memu zadość,
daj dokochać śnieg mi twardy.

Daj jutrzenkę mi za sanie,
gałąź wierzby jako lejce.
Do twych wrót, być może, Panie,
o swych siłach sam przylecę.

*
* *

Zielone włosów sploty,
białe piersi dziewicy,
czemu, brzózko, z tęsknotą
topisz w stawie źrenice?

Co tobie wiatr mamrocze?
Co piasku gra muzyka?
Czy w gałązek warkocze
chcesz księżyca-grzebyka?

Odkryj mi tajemnicę
swojej drzewnej zadumy,
pokochałem w tęsknicy
twe przedjesienne szumy.

A brzózka na to rzecze:
— Dziś nocą w gwiezdnej głuszy
poznałam łzy człowiecze,
gdy żegnał mię pastuszek.

Las był księżycem zlany,
drzewa spały bezgłośnie,
on nagie me kolana
obejmował miłośnie.

I wsłuchany głęboko
w szmer liści, co się smucą,
rzekł: — Żegnaj, moje złoto,
aż żórawie powrócą.

*
* *

O, przyjaciółko gibka,
O, muzo zazdrośnico!
Znowu na deszczyk sypki
wybiegliśmy z świetlicy.

Znowu wiosennym śpiewem
wita nas w jarze dróżka,
jak dziecię spowinęła
zorza księżyc w pieluszki.

Terazby wiatru szałów
lub słodkiej kołysanki,
za to, żeś sił nabrała,
żeś w piersiach mych rozlała
łagodne światło ranka.

Bryznąćby w niebo modre
wiśniowym sokiem wiersza
za rodzicielską szczodrość
tych mistrzów twoich pierwszych.

O, miodzie, miodzie wspomnień!
O, lip dalekich dzwonie!
Jak gwiazda z mgły wyciągnął
Razumnik swoje dłonie.

Wówczas w zabaw rozgłosie,
myślą-m w przyszłości bujał
i na rękach nas nosił
apostoł słodki Klujew.

Dojrzała nam dziś dusza
i wagi też przybyło...
Lecz dni tych nie zagłuszy
słowik swym trelem miłym.

I deszczyk ten figlarny
przeszłości z nas nie zetrze,
by dzwon twej lampki żarnej
nie zagasł nam na wietrze.

*
* *

Za niebem tęskni moja dusza,
wygnanka z włości mlecznej drogi,
lubię, gdy widzę, jak się rusza
wśród gęstwi drzew zielony ogień.

Bo to gałązki złotogłowe,
jak świeczki tlą się przed nieznanem
i rozkwitają gwiazdy-słowa
na ich listowiu młodocianem.

Choć dobrze ziemi głos rozumiem,
nie zbędę męki tej, niestety,
jak rów z wód strząsnąć swych nie [umie
odbitej z niebnych pól komety.

Tak konie swemi ogonami
nie strząsną z grzbietów swych [miesiąca...
O, gdyby przeróść móc oczami
tak jak te liście w głąb kuszącą!

POEZJE SERGJUSZA JESIENINA

*
* *

O, codzienny widoku, jak nużysz! —
tym jesiennym ołowiem deszczowym,
tą latarnią, co w czarnej kałuży
wciąż odbija swą bezwargą głowę.

Nie, już lepiej wzrok swój przed tem strzec,
by gorszego czegoś nie zoczyć.
Ja na wszystek ten rdzawy szmelc
będę mrużyć i zwężać oczy.

Tak jest cieplej i mniej trochę boli.
Spójrz: pomiędzy szkieletami domów,
niby młynarz, dzwonnica powoli
dźwiga wory swych miedzianych dzwonów.

Jeśliś głodny, będziesz miał żarcie,
gdyś nieszczęsny, będziesz wesół, rad.
Tylko nie patrz, nie patrz tak otwarcie,
mój ty bracie nieznany, na świat.

I zrobiłem, jak pomyślałem,
lecz niestety! wciąż to samo jeszcze.
Snać zanadto już przywykło ciało
czuć to zimno i te ciągłe dreszcze.

Lecz cóż z tego? Nie martwię się zgoła.
Nie sam kroczę poprzez ziemski trakt!
A latarnia chichocze wesoło
i bezwargą głową bije w takt.

I jedynie szepcze serce małe
walczącemu z poza ziemskich twierdz:
Przyjacielu! Oczy, co przejrzały
umie zamknąć tylko jedna śmierć.

*
* *

Pożar kłębem objął serca cieśń,
zapomniane już ojczyste dale.
Po raz pierwszy o miłości pieśń,
po raz pierwszy poniecham skandali.
Byłem cały — jak zarosły sad,
na kobiety i na wódkę łasy.
Już nie będę więcej zdrowia kradł,
odechciało mi się pić i hasać.
Gdybym tylko w twarz twą patrzeć mógł,
widzieć zawrót złotokarych źrenic,
abyś zeszła ze swych dawnych dróg,
abyś dla mnie nie mogła się zmienić.
Wiotka kibić i łagodny krok.
Gdybyż serce twe chciało zrozumieć,
jak to kochać umie taki łotr,
jak pokornym nawet stać się umie!
Wszystkie wiersze cisnął precbym w kąt,
nie przestąpił nigdy knajpy progu,
by się tylko twych dotykać rąk
i twych włosów jesiennego brogu.
I na wieki poszlibyśmy gdzieś.
czy to w nasze, czy też w obce dale.
Po raz pierwszy o miłości pieśń,
po raz pierwszy poniecham skandali.

W SPOLSZCZENIU K. A. JAWORSKIEGO

*
* *

Takaś prosta jak wszystkie dziewczyny,
jak tysiące dziewcząt na Rusi.
Znasz jesieni chłód mglisty i siny,
wiesz, jak zorza poranna kusi.
Śmiesznie serca uderzenia liczę
i myśl moja ku głupstwom się skłania.
Twe surowe jak z ikon oblicze
po kaplicach wisiało w Riazaniach.
Przedtem plułem na święte obrazy,
czciłem gburstwo i krzyk obleśny,
teraz nagle rosną mi wyrazy
przenajsłodszych, najcichszych pieśni.
Nie chcę lecieć już w zenitu tonie,
ciało moje pragnie nazbyt wiele.
Czemu, czemu imię twe tak dzwoni,
jak sierpniowych chłodnych ranków trele?
Jam nie żebrak, nędzny ani mały
i dosłyszę, — choć mnie zapał ślepi:
już się dzieckiem podobać umiałem
psom bezdomnym i kobyłom w stepie.
Oto-m czemu siebie nie oszczędził
już dla siebie — dla żadnej kobiety,
niewesołe szczęście ze mną będzie —
zwarjowane serce poety.
I dlategom smutny, zapadnięty,
niby w liście, w wzrok twój, co kusi.
Takaś prosta, jak wszystkie dziewczęta,
jak tysiące dziewcząt na Rusi.

* *
*

Klonie mój bezlistny, klonie olodziały,
czemu się zgarbiłeś pod zamiecią białą?
Możeś co zobaczył? Czy co słyszysz może?
Stoisz, jakbyś bawić przyszedł się na dworze.
I jak stróż pijany, co się toczy drogą,
utonąłeś w zaspie, odmroziłeś nogę.
Ach, i jam coś dzisiaj niezbyt w nogach szybki,
nie dojść mi do domu z przyjacielskiej bibki.
Tam spotkałem wierzbę, tam spostrzegłem sosnę,
nuż im śpiewać pieśni, choć śnieg, wielbić wiosnę.
Sam się sobie zdałem takim samym klonem,
tylko nie bezlistnym, ale już zielonym.
I bezwstydnie śmiało, całkiem zamroczony,
całowałem brzozę, niby cudzą żonę.

*
* *

Słyszysz, jak mkną sanie? Słyszysz, jak mkną sanie?
Dobrze — się zagubić w polu nam, kochanie.
Wesolutki wietrzyk cichy i nieśmiały,
na równinie nagiej dzwonki oszalały.

Sanie moje, sanie! Koniu mój bułany!
Gdzieś tam na polanie tańczy klon pijany.
Jedźmy więc do niego, zapytajmy — co tam?
I zatańczmy razem wszyscy troje potem.

POEZJE SERGJUSZA JESIENINA

* * *

Siądź, kochanie, tutaj przy mnie,
w oczach wzajem się zanurzym.
Chcę w łagodnych ócz twych dymie
słyszeć wrzącą uczuć burzę.

To jesienne złote runo
i twych włosów biała przędza —
wszystko przyszło na ratunek,
by obwiesia zbawić z nędzy.

Dawno kraj swój porzuciłem,
gdzie na łąkach kwiecia wieniec.
Gorzką sławę w szynkach piłem,
chcąc żyć w mieście jak straceniec.

Chciałem, aby serce rzadziej
wspominało wsi sekrety,
gdzie słuchając chórów żabich,
sny roiłem, żem poetą.

Teraz jesień tam tak samo...
Lipa z klonem w oknie zgięta
szuka w izbie gałęziami
tych, o których wciąż pamięta.

Nikt ich więcej nie zobaczy...
Księżyc brodzi przez cmentarzyk
i na krzyżach światłem znaczy,
że i z nami chce pogwarzyć.

Że i my już, zbywszy trwogi,
pod krzewami znajdziem spokój.
Falujące wszystkie drogi
cieszą żywych tylko kroki.

Siądź, kochanie, tutaj przy mnie,
w oczach wzajem się zanurzym.
Chcę w łagodnych ócz twych dymie
słyszeć wrzącą uczuć burzę.

* * *

Jakaż to noc! Niesposób spać,
ta księżycowość sen mi płoszy.
Dziś jeszcze zda się w duszy grać
nuta młodości i rozkoszy.

O, przyjaciółko lat niewdzięcznych,
nie zwij miłością naszej gry:
niech lepiej cichy blask miesięczny
krzesze nam w włosach srebrne skry.

Niech wykrzywionych grymas ust
w tem świetle się rysuje śmiało.
Nie możesz przestać kochać już,
boś i pokochać nie umiała.

Bo kochać można tylko raz,
oto dlaczegoś mi jest obca,
że lipy próżno wabią nas,
grążąc w świetlistym nocy skopcu.

Wszak dobrze wiesz i ja to wiem,
że w blasku tym miesiąca czystym,
na lipach tych nie kwiatów krem,
na lipach tych lśni śnieg puszysty.

Że dawnośmy przestali kochać
nie ciebie ja, a ty nie mnie.
Cóż więc nam szkodzi gra ta płocha,
wszak wszystko jedno życie mknie.

A jednak pieść i usta daj,
namiętnie zwieraj swe powieki.
Niech sercu wiecznie śni się maj
i ta, co kocham ją na wieki.

* * *

Rżnij, harmonjo, dźwięcznie, rżnij, harmonjo, śmiało!
Czy wspominać młodość, która przeleciała!
Nie szum tak, osiko, nie wznoś kurzu, drogo.
Niechaj pieśń się niesie do mej miłej progu.

Niechaj ją usłyszy, niechajże zapłacze,
dla niej cudza młodość przecież nic nie znaczy.
No, a jeśli znaczy, będzie żyć bez cierpień.
Gdzieś ty, ma radości? Gdzieś ty, losu sierpie?

Lej się, pieśni, dźwięczniej, lej się, pieśni, głośniej.
Już i tak nie będzie nigdy mi radośnie.
Zamiast dawnej siły, dumy i postawy
pozostała dzisiaj tylko piosnka łzawa.

W SPOLSZCZENIU K. A. JAWORSKIEGO

*
* *

Świecie stary, świecie mój miły,
jak wiew wiatru zamilkł twój głos.
Oto szyje wiosek zdusiły
ręce kamienne szos.
Tak bezradnie na śnieżystej szosie
zadrgał biedny dzwoniący lęk.
Witaj, czarny mój posępny losie,
idę spotkać ten śmiertelny dźwięk.
Miasto, miasto, w tej walce okrutnej
ty uważasz nas za wrzodu strup.
Stygnie pole wolooko smutne,
telegrafu dusi każdy słup.
Krzepkie mięśnie pod tą djablą głową,
lekką zda się im żelazna gać.
Cóż więc z tego. Boż to dla nas nowość —
my się śmierci nie umiemy bać.
I niech w sercu ból ten nie umilka,
taka praw jest zwierzęcych pieśń...
...Tak myśliwi bezlitośnie wilka
zapędzają w swej obławy cieśń.
Zwierz przysiada... ale już go strzegą,
ktoś za chwilę spuści kurków stal...
Nagle skok... i wroga dwunożnego
kły rozszarpią i rozrzucą wdal.
Witaj, zwierzu, zwierzu mój kochany!
Wiem, nóż darmo nie zbije cię z nóg.
I jam także jest prześladowany,
z każdej strony czeka na mnie wróg.
Jak i ty—jam zawsze jest na straży
i choć słyszę rogu grzmiący lot,
lecz spróbuje, krwi spróbuje wrażej
mój ostatni, mój śmiertelny skok.
I niech legnę na śnieżystej szosie,
niech zapadnę się w ten miękki śnieg....
Lecz za śmierć mą, mój posępny losie,
pieśnią zemsty zabrzmi tamten brzeg.

*
* *

O czem, pieśni wy moje, krzyczycie?
Czyż już więcej wam dać niesporo?
Błękitnego spokoju nici
wplatać uczę się w moje kędziory.
Chcę być cichym i milczeć uparcie.
Gwiazda uczyć milczenia mnie musi.
Jak to dobrze stać brzozom na warcie
i pilnować drzemiącej Rusi.
Jak to dobrze w tę noc księżycową
samotnemu po trawie się włóczyć
i po drodze zbierać kłosy płowe
do żebraczej torby — do duszy.
Ale błękit stepowy nie leczy.
Czemuż, pieśni, was strząsnąć nie mogę?...
Pozłocistą miotełką wieczór
pył wymiata z mej równej drogi.
I tak wiele radości jest w krzyku,
co wraz z wiatrem nad puszczą się niesie:
— Bądźże zawsze chłodny, śmiertelniku,
tak jak chłodna jest złocista jesień.

DRUGA JESIEŃ

Wśród wielu prac naukowych, podejmowanych przez mego ojca w rzadkich chwilach spokoju i uciszenia wewnętrznego, pomiędzy ciosami klęsk i katastrof, w jakie obfitowało to życie burzliwe — najbliższe jego sercu były studja nad meteorologją porównawczą, a zwłaszcza nad specyficznym klimatem naszej prowincji, pełnym jedynych w swoim rodzaju osobliwości. On to właśnie, mój ojciec, położył podstawy pod umiejętną analizę formacyj klimatycznych. Jego „Zarys ogólnej systematyki jesieni" wyjaśnił raz na zawsze istotę tej pory roku, która w naszym klimacie prowincjonalnym przybiera tę przewlekłą, rozgałęzioną, pasożytniczo rozrosłą formę, która pod nazwą „chińskiego lata" przeciąga się daleko w głąb naszych zim kolorowych. Cóż powiedzieć? On pierwszy wyjaśnił wtórny, pochodny charakter tej późnej formacji, nie będącej niczem innem, jak pewnego rodzaju zatruciem klimatu miazmatami przejrzałej i wyradzającej się sztuki barokowej, stłoczonej w naszych muzeach. Ta rozkładająca się w nudzie i zapomnieniu sztuka muzealna przecukrza się, zamknięta bez odpływu, jak stare konfitury, przesładza nasz klimat i jest przyczyną tej pięknej, malarycznej febry, tych kolorowych delirjów, któremi agonizuje ta przewlekła jesień. Piękno jest bowiem chorobą, uczył mój ojciec, jest pewnego rodzaju dreszczem tajemniczej infekcji, ciemną zapowiedzią rozkładu, wstającą z głębi doskonałości i witaną przez doskonałość westchnieniem najgłębszego szczęścia.

Kilka rzeczowych uwag o naszem muzeum prowincjonalnem niechaj w tem miejscu posłuży do lepszego zrozumienia sprawy. Początek jego sięga 18-go wieku i wiąże się z godnym podziwu zapałem kolekcjonerskim O.O. Bazyljanów, którzy obdarzyli miasto tą pasożytniczą naroślą, obciążającą budżet miejski nadmiernym i nieproduktywnym wydatkiem. Przez szereg lat skarb Republiki, odkupiwszy za bezcen te zbiory od zubożałego zakonu, rujnował się wielkodusznie na to mecenasowstwo, godne jakiejś królewskiej rezydencji. Ale następna już generacja ojców miasta, bardziej praktycznie zorjentowana i nie zamykająca oczu na konieczności gospodarcze, po bezskutecznych pertraktacjach z kuratorją arcyksiążęcych zbiorów, której usiłowała to muzeum sprzedać — zamknęła je, zlikwidowała zarząd, wyznaczywszy dla ostatniego kustosza dożywotnią emeryturę. W czasie tych pertraktacyj stwierdzone zostało przez rzeczoznawców ponad wszelką wątpliwość, że wartość tych zbiorów była grubo przeceniana przez patrjotów lokalnych. Poczciwi ojcowie nabyli w chwalebnym zapale niejeden falsyfikat. Muzeum

to nie zawierało ani jednego obrazu pierwszorzędnego mistrza, ale za to całe kolekcje trzecio i czwartorzędnych, całe szkoły prowincjonalne, tylko fachowcom znane, zapomniane, ślepe uliczki historji sztuki.

Rzecz dziwna: poczciwi mnisi mieli upodobania militarne, większa część obrazów była treści batalistycznej. Spalony złoty mrok ciemniał na tych zetlałych od starości płótnach, na których floty galer i karawelli, stare zapomniane armady butwiały w zatokach bez odpływu, kołysząc na wzdętych żaglach majestat dawno zaginionych republik. Z pod zadymionych i pociemniałych werniksów majaczyły ledwo widoczne zarysy konnych potyczek. Przez pustkę spalonych kampanij, pod niebem ciemnem i tragicznem przeciągały w groźnej ciszy skłębione kawalkady, ujęte z obu stron w spiętrzenia i wykwity artyleryjskiego ognia.

Na obrazach neapolitańskiej szkoły starzeje się bez końca popołudnie smagłe i wędzone, jakby widziane przez ciemną butelkę. Pociemniałe słońce zdaje się więdnąć w oczach w tych straconych krajobrazach, jak w przeddzień kosmicznej katastrofy. I dlatego tak błahe są uśmiechy i gesty złotych rybaczek, sprzedających z manjerycznym wdziękiem wiązki ryb wędrownym komedjantom. Cały ten świat jest dawno osądzony i dawno zamierzchły. Stąd ta słodycz bezgraniczna ostatniego gestu, który sam jeden jeszcze trwa — sobie samemu daleki i zgubiony, wciąż na nowo powtarzany i na zawsze ważny. A dalej jeszcze w głębi tego kraju, zamieszkanego przez beztroski lud wesołków, arlekinów i ptaszników z klatkami, w tym kraju bez powagi i bez rzeczywistości wyplaskują małe Turczynki pulchnemi rękami miodowe placki ułożone na deskach, dwaj chłopcy w neapolitańskich kapeluszach noszą kosz pełen gwarnych gołębi na kiju, który ugina się lekko pod tym gruchającym skrzydlatym ciężarem. A jeszcze głębiej, na samej krawędzi wieczoru, na ostatniem skrawku ziemi, gdzie na granicy mętnozłotej nicości chwieje się więdnący pęk akantu — toczy się jeszcze wciąż partja kart, ostatnia stawka ludzka przed wielką nocą, która nadciąga.

Całą tę rupieciarnię starego piękna poddano bolesnej destylacji pod ciśnieniem lat całych nudy.

„Czy potraficie zrozumieć — pytał mój ojciec — rozpacz tego skazanego piękna, jego dni i noce. Ciągle na nowo porywa się ono do złudnych licytacyj, inscenizuje udane wyprzedaże, hałaśliwe i tłumne aukcje, pasjonuje się dzikim hazardem, gra na baissę, rozrzuca gestem utracjusza, marnotrawi swe bogactwo, ażeby, trzeźwiejąc, spostrzec, że wszystko to jest daremne, że nie wyprowadza poza zamknięty krąg skazanej na

siebie doskonałości i nie może ulżyć bolesnemu nadmiarowi. Nic dziwnego, że ta niecierpliwość, ta bezradność piękna musiała się wkońcu wzwierciedlić w nasze niebo, rozgorzeć łuną nad naszym horyzontem, wyrodzić się w te kuglarstwa atmosferyczne, w te arangementy obłoczne, ogromne i fantastyczne, które nazywam naszą drugą, naszą pseudojesienią. Ta druga jesień naszej prowincji nie jest niczem innem, jak chorą fatamorganą, wypromieniowaną w wyolbrzymionej projekcji na nasze niebo przez umierające, zamknięte piękno naszych muzeów. Jesień ta jest wielkim, wędrownym teatrem kłamiącym poezją, ogromną kolorową cebulą łuszczącą się płatek po płatku coraz nową panoramą. Nigdy nie dotrzeć do żadnego sedna. Za każdą kulisą, gdy zwiędnie i zwinie się z szelestem, ukaże się nowy i promienny prospekt, przez chwilę żywy i prawdziwy, zanim, gasnąc, nie zdradzi natury papieru. I wszystkie perspektywy są malowane i wszystkie panoramy z tektury i tylko zapach jest prawdziwy, zapach więdnących kulis, zapach wielkiej garderoby, pełen szminki i kadzidła. A o zmierzchu ten wielki nieporządek i gmatwanina kulis, ten zamęt porzuconych kostjumów, wśród których brodzi się bez końca, jak wśród szeleszczących zwiędłych ilości. I jest wielkie bezhołowie, i każdy ciągnie za sznury kurtyn, i niebo, wielkie jesienne niebo wisi w strzępach prospektów i pełne jest skrzypienia bloków. I ta pośpieszna gorączka, ten zdyszany i późny karnawał, ta panika nadrannych sal balowych i wieża Babel masek, które nie mogą trafić do swych szat prawdziwych.

„Jesień, jesień, aleksandryjska epoka roku, gromadząca w swych ogromnych bibljotekach jałową mądrość 365 dni obiegu słonecznego. O, te poranki starcze, żółte jak pergamin, słodkie od mądrości, jak późne wieczory! Te przedpołudnia uśmiechnięte chytrze, jak mądre palimpsesty, wielowarstwowe, jak stare pożółkłe księgi! Ach, dzień jesienny, ten stary filut-bibljotekarz, łażący w spełzłym szlafroku po drabinach i kosztujący z konfitur wszystkich wieków i kultur! Każdy krajobraz jest mu jak wstęp do starego romansu. Jakże się świetnie bawi, wypuszczając bohaterów dawnych powieści na spacer pod to zadymione i miodne niebo, w tę mętną i smutną, późną słodycz światła! Jakich nowych przygód dozna Don Kichot w Soplicowie? Jak ułoży się życie Robinsonowi po powrocie do rodzinnego Bolechowa?"

W duszne nieruchome wieczory, złote od zórz, odczytywał nam ojciec wyjątki ze swego manuskryptu. Porywający lot idei pozwalał mu chwilami zapomnieć o groźnej obecności Adeli.

Przyszły ciepłe wiatry mołdawskie, nadciągnęła ta ogromna żółta monotonja, to słodkie, jałowe wianie z Południa. Jesień

nie chciała się skończyć. Jak bańki mydlane, wstawały dni coraz piękniejsze i eteryczniejsze i każdy wydawał się tak do ostatnich granic wyszlachetniony, że każda chwila trwania wydawała się cudem przedłużonym nad miarę i niemal bolesnym.

W ciszy tych dni głębokich i pięknych zmieniała się niepostrzeżenie materja listowia, aż pewnego dnia stały drzewa w słomianym ogniu całkiem zdematerjalizowanych liści, w krasie lekkiej, jak wykwit plewy, jak nalot kolorowych konfetti — wspaniałe pawie i feniksy, które wstrząsnąć się tylko muszą i zatrzepotać, ażeby strącić to świetne, lżejsze od bibułki, wylinione i niepotrzebne pierze.

BRUNO SCHULZ

Z „DZIENNIKA TATRZAŃSKIEGO"

Obiadujemy na wschodnim brzegu Czarnego. Na skałce ustawiliśmy kuchenkę. Warzą się dzikie potrawy. Woda sepją malowana leży u naszych stóp. Wanda rozpostarła koce i patrzy na jezioro. Musi jej tu być dobrze. Przyznała.

Grań Kotelnicy obleka się cieniem. Zielony zato stawu brzeg północny tonie w słońcu i niewypowiedzianie jest serdeczny. Najwięcej uroku ma dolina Pięciu Stawów, kiedy stąd na nią patrzeć. Godzinami możnaby siedzieć nad tym Czarnym i nie odwracać oczu. Spokój przedziwnie dobry płynie w duszę, że oto milknie mózg, a serce kładzie skrzydła po sobie, jak o południu ptak.

Przesiliło się mosiężne popołudnie i chłód powiewać jął doliną, gdyśmy ruszyli w dalszą drogę. Z pod Koła wielki oglądamy teatr jezior i doliny, a potem w ciszę zapadamy kamieniska, które obsiadło stawek Zadni, pod Walentkową samotnie dumający. Wspina się ścieżką coraz wyżej i wynosi nas pod samą niemal przełęcz zawratową. Lecz nie pójdziemy dziś na Zawrat: Świnica woła w lewo, perć ku nam wyrzucając efektowną i ponętną. Pora późna i mgły się plączą wedle grani nadwieczorne, ale idziemy.

Widok z półek i wiszarów perci niezrównany. Płyniesz sobie wzrokiem ponad mury, któreś niedawno miał nad głową, a tu już zachód słońca orgje ci wyczynia barw i blasków żywych, zmiennych, oszalałych. Gdzie spojrzysz, cud. Oto Hruby obłokiem dymi jasnofiołkowym, oto Krywań hardo wgórę bije, a słońca mosiądz ma na piersiach. Pośredni z rudej miedzi, Miedziane płonie całe i chmury nad Miedzianem ogniem szczerym płoną. Niżnie Tatry majaczeją w liljowej śreżodze, dalekie, całkiem widziadlane. Lecz nad Miedzianem już ogień posiniał, fiołkowy się stał i zgoła nieprawdopodobny.

Nagle nowy świat: otworzył się znienacka widok w dolinę Stawów Gąsienicowych. Ciemno. Stawów dużo, ale drobne Dolina szeroka i pusta. Oczy wracają do czerwieni, fioletów i ognia.

Za chwilę osiągamy szczyt Świnicy. Wchodzę pierwszy: cisawa łasiczka pierzchła mi z pod nóg.

Nad Miedzianem i dalszemi łańcuchami smugi już wiszą purpurowe, a wąskie i po bokach wyszczerbione: długie, obosieczne piły. W krew najświętszą zmieniło się niebo nad Hrubym i Krywaniem. Wieczór osiadł w dolinie Wietchcichej i otulił Tatry Zachodnie. Z nad stawków Gąsienicowych wznoszą się ku nam mgły.

Czuję, że mi się bezmiar piękna przetoczył przez jestestwo. Jak po twórczym porywie, rzewny jestem, rozedrgany i wdzięczny. Spojrzałem na Wandę: płonie, jak to niebo płonęło od zachodu. Zdaje mi się, że i ją ten wieczór do głębi przejął i poruszył. Bo też to było istne nabożeństwo.

Schodzimy raźno, bo noc niedaleko. Do przełęczy Świnickiej świecą nam jeszcze szczątki dnia, za przełęczą jednak, gdy się perć na stoki przewinęła północne, ogarnął nas gęsty mrok. Już latarki raz po raz elektryczne zapalamy, już nad głowami błyskać zaczynają gwiazdy. Mijamy staw Zielony. Noc zupełna. Woda tak cicha, że możnaby jej nie zauważyć. Ale zdradziły ją gwiazdy. Głęboko, głęboko świecą jak węgielki, jak oczy. W pokornej ciszy przesuwamy się brzegiem jeziorka. Święta chwila.

Zgubiliśmy drożynę. Wiem, że poszła na lewo, że obejdzie stawek Litworowy, ale tak mi jest dobrze i taka ufność gospodarzy w głowie, że nie myślę odszukiwać drogi. Dzikiemi, kapryśnemi perciami wiodę pochód przez kosówkę. Suche, białe łożysko potoku: idziemy łożyskiem. Cóż wszystko? Gwiazd na niebie przecie zawierucha, tu obok serca ludzkie. I Tatry. Oglądam się na Świnicę, na Kościelec: czarne stoją, czoła mają zachmurzone, wspaniałe.

Wydobyliśmy się z kosówki. W kilka minut osiągamy halę Gąsienicową. Gromada owiec na drodze, mleczna droga na niebie. Jeszcze jedno wzniesienie, jeden zakręt między smrekami i wchodzimy na łagodne trawniki Karczmiska. Z przełęczy Między Kopami zobaczymy już Zakopane: roje świateł i proste świateł szpalery. Zatrzymuję więc Wandę i obracamy się ku Tatrom. Stoją czyste i nie chmurą już, ale samemi gwiazdami ukoronowane.

TADEUSZ BOCHEŃSKI (Kraków)

Z KSIĄŻEK NAJNOWSZYCH

W tych dniach opuścił prasę nowy, zgórą czterysta stron liczący tom prozy Jarosława Iwaszkiewicza. Jest to wielka, szeroko rozbudowana powieść p. t. „Czerwone tarcze".

Iwaszkiewicz należy już dzisiaj do najdoskonalszych i najsubtelniejszych zarazem prozatorów obecnej doby. Pisząc o tym autorze, coraz częściej zapominamy o jego twórczości poetyckiej, a mamy na myśli przedewszystkiem jego przepiękne karty „Demeter", szlachetny wysiłek, zamknięty w powieści „Księżyc wschodzi", a zwłaszcza w „Brzezinie", w utworze, o którym za mało się u nas pisało, mimo jego skondensowanego, fascynującego wprost piękna.

Ostatnio Iwaszkiewicz dał nam nową, niezwykle pracowicie skonstruowaną rzecz, kto wie, czy nie jedną z najlepszych nietylko w swej dotychczasowej twórczości prozatorskiej, ale i jedną z najdoskonalszych książek wśród wszystkich wydanych w ostatnich latach.

„Czerwone tarcze" to powieść historyczna, której głównym bohaterem jest Henryk Sandomirski, syn Bolesława Krzywoustego, człowiek na wielką miarę, o szerokich planach i zamierzeniach, zdążających do odbudowania Polski jednolitej, zamkniętej w granicach państwa Chrobrego. Chcąc przygotować się należycie do swej wielkiej dziejowej roli, udaje się w podróż i po drodze zaczepia o obce, sławne dwory, by tutaj zbliska przypatrzeć się trybom maszyny państwowej.

Wędrówka ta tego księcia o romantycznem sercu jest opowiedziana z niezwykłym czarem. Chłoniemy pełną piersią urok średniowiecza, urok tych czasów, kiedy to najsurowsza asceza graniczy z pogańskiem wyuzdaniem, a brzęk broni błędnego rycerza miesza się z dźwiękiem lutni trubadura. Powietrze przesiąka zapach wiatrów, wiejących z gór i lazurowych jezior, woń sklepionych komnat zamkowych oraz daleki swąd płonących stosów.

Ale na każdej stronie „Czerwonych tarcz" brzmi przedewszystkiem melodja, melodja, grająca tysiącem najsubtelniejszych odcieni. Iwaszkiewicz wszystkie karty swoich dzieł, a specjalnie ostatniego przesyca jakąś czarodziejską muzyką, muzyką dotychczas w prozie polskiej zupełnie nieznaną. A największą chyba zaletą powieści Jarosława Iwaszkiewicza jest to uwspółcześnienie zamierzchłego średniowiecza, jakie znajdujemy w tem dziele. Czegoś podobnego nie dokazał jeszcze nikt przed nim i to w tak mistrzowski, sugestywny sposób.

JÓZEF NIKODEM KŁOSOWSKI

NOTY

MARCHOŁT. Pod tym tytułem ukazał się pod redakcją Stefana Kołaczkowskiego nakładem Instytutu Literackiego w Warszawie tom I kwartalnika, poświęconego sprawom literatury i kultury. Pismo wysuwa na pierwszy plan „podstawowe zagadnienia kultury, filozofji wartości, rozważania z zakresy etyki, estetyki, psychologji i filozofji osobowości", wychodząc z założenia, iż „zbyt jednostronnie ostatniemi czasy interesowali się pisarze sprawami rzemiosła, zapominając o podstawowem znaczeniu osobowości i życia duchowego w twórczości". Tytuł kwartalnika, nawiązujący do dzieła Kasprowicza, ma tu charakter symboliczny, jako „wizerunek człowieka, który wyobraża pełnię człowieczeństwa", człowieka, który „oba żywioły, ziemi i nieba, sprzągł w sobie w jednako potężnej mierze". Na treść tomu pierwszego składają się artykuły A. Górskiego i Z. Szmydtowej o Mickiewiczu; R. Ingardena „Niektóre sprawy sporne we współczesnej psychologji"; słuszny głos S. Kołaczkowskiego" „W sprawie reformy studjów polonistycznych", otwierający dyskusję nad wyzwoleniem studjów literackich z pod hegemonji „gramatyków" i językoznawstwa; artykuł M. W. Jackiego „O trzech zagrażających nam pomnikach"; wiersze T. Makowieckiego; nowelę A. Osieckiej „Klucz niebieski" (ciekawie rozwinięty temat nawrócenia religijnego); frapującą interpretację „Koncertu Jankiela", w którym Doman Wieluch widzi „Najpiękniejszy pomnik Szopena" (autor dowodzi, iż popularny fragment z „Pana Tadeusza" jest niczem innem, jak poetyckim obrazem współczesnych Mickiewiczowi audycyj szopenowskich). Numer uzupełniają artykuły: W. Kubackiego „Estetyzm czy kulturalizm", A. G. „Około humanizmu", W. Kubackiego „Glossy do powieści M. Choromańskiego", w których znajdujemy między innemi zarzut „grubego i fizykalnego stosunku" autora „Zazdrości i medycyny" do „najdelikatniejszych drgnień duszy", „Estetyka a dzisiejsza filozofja osobowości" i „Do luminarzy mojej parafji" S. Kołaczkowskiego, zarzucającego monografji Kleinera o Mickiewiczu „osiągnięcie rekordu szczegółowości" z uszczerbkiem dla przejrzytości konstrukcji.

„Marchołt" uzupełnia wśród polskich pism literackich lukę, która powstała po umilknięciu „Przeglądu Warszawskiego" i „Pamiętnika Warszawskiego". — kaj —

WICI WIELKOPOLSKIE. Jako dodatni wyraz tężyzny wielkopolskiego autochtona, dorzucający cegiełki do wspólnego gmachu kultury narodowej, należy zanotować istnienie w maleńkiej mieścinie Wrześni, znanej nam dotychczas z innej strony, miesięcznika „Wici Wielkopolskie". Redagowany przez Marjana Turwida, ma już za sobą 35 numerów oraz cztery lata egzystencji i nieprzerwanej pracy. Przeglądając numery poszczególne (od 2 — 8 r. b.) cieszymy się czystą i ładną szatą zewnętrzną, staranną korektą i drukiem, ilustracjami — znać tam dbałość o estetyczną stronę pisma, dla drukarni i wydawcy p. A. Prądzyńskiego jest to chlubnem świadectwem umiłowania swego zawodu i dobrej woli.

Każdy numer podzielić można na część obszerniejszą literacką i skromniejszą, podająca „Listy z regjonów", „Recenzje", „Kronikę" i t. p. W części pierwszej spotykamy znane naszym czytelnikom nazwiska: Stanisława Helsztyńskiego z fragmentami nieznanych listów i pism St. Przybyszewskiego (Nr. 4—8) i Stanisława Czernika, z fragmentem dramatu „Dzień przed żniwami", czy artykułem „Przeciw zmyśleniu i zwrotce" (Nr. 4), gdzie w ataku na zwrotkę w poezji polskiej posuwa się do twierdzenia (str. 26), „że metoda niezwrotkowa jest właściwie najbliższa Polakom i ona łącznie z zasadą autentyczności powinna stanowić o polskim stylu poetyckim". Poza tem znajdziemy tam wśród regjonalnych legend, notatek literackich, wywiadów, szkiców monograficznych tematy takie, jak, galerja obrazów im. Mielżyńskich w Poznaniu, o teatrach poznańskich o „Ludziach z Poznania", o grupie art. wielkopolskich „Plastyka" i wiele in. Zniżając się do poziomu czytelników, dla których „Prom" poznański mógł być zanadto rewolucyjnym i małostrawnym, „Wici" wypełniają poniekąd lukę, jaka się daje odczuwać w tej części Polski po prawdopodobnej likwidacji grupy, płynącej na swym „Promie", pod pełnemi żaglami młodości na zdobycie ostróg poetyckich. — zw —

PISMA I KSIĄŻKI NADESŁANE

Biuletyn Polsko-Ukraiński Nr. 75 — 78
Dażboh Nr. 7 — 8
Dekada Nr. 1 — 4
Front Polski Zbudzonej Nr. 27 — 30
Front Teatralny Poz. IV
Marchołt t. 1
Miecz Nr. 21 — 24
Myśl Wolna Nr. 5
Nazustricz Nr. 19 — 20
Państwo Pracy Nr. 39 — 43
Pion Nr. 40 — 44
Sygnały Nr. 10
Wieś, jej pieśń Nr. 11
Zet Nr. 14 — 15
Marjan Czuchnowski: Nowa kultura
Adam Bielski: Spiekota
Zbigniew Folejewski: Głos w czeluści

NASZE ZAMIERZENIA W BIEŻĄCYM ROKU WYDAWNICZYM.

W zeszycie czwartym „Kameny" zamieścimy przekłady z poezji niemieckiej Stefana Napierskiego i Pawła Hertza.

Numer siódmy (marcowy) „Kameny" będzie poświęcony wyłącznie Tatrom.

W kwietniu wydajemy specjalny zeszyt lubelski „Kameny" o poczwórnej objętości, w którym zamieścimy utwory pisarzy z Lubelszczyzny starszej i młodszej generacji.

Nakładem Bibljoteki Kameny ukaże się w grudniu „Spowiedź chuligana", wybór poezyj Sergjusza Jesienina, w przekładzie K. A. Jaworskiego z przedmową S. Kułakowskiego i linorytami Z. Waśniewskiego.

Nakładem Kameny wyjdzie również w najbliższych miesiącach teka linorytów regjonalnych Zenona Waśniewskiego.

DO PRENUMERATORÓW I CZYTELNIKÓW „KAMENY"!

Z dniem 2 października 1934 r. obowiązuje na mocy rozporządzenia Ministra Poczt i Telegrafów NOWY, BEZPŁATNY SPOSÓB PRZESYŁANIA PIENIĘDZY DO ADMINISTRACJI CZASOPISM.

Kto pragnie przesłać pod adresem „Kameny" należność za prenumeratę, pojedyńcze egzemplarze, ogłoszenia i t. p. nieprzekraczające 15 zł., może to uczynić PRZY POMOCY SPECJALNYCH PRZEKAZÓW ROZRACHUNKOWYCH.
Od sum przesłanych temi przekazami NIE PONOSI WYSYŁA-